

Bakchantki Eurypidesa w przekładzie Jana Kasprowicza.

Oddawna już oczekiwaliśmy na scenie lwowskiej dramatu starożytnego. Arystofanesa obiecywał nam jeszcze Leon Schiller. I oto wbrew oczekiwaniom nie wielki satyryk, Bernard Shaw starożytnej Grecji, ale jej Szekspir zawitał w progi Teatru Wielkiego, otwierając podwoje na sezon tegoroczny okrzykiem „Dionizos!”

Dziwnie to piękna i dziwnie bliska współczesnemu człowiekowi tragedia „najnowożytniejszego z tragików greckich”. Mimo niepojętej już dla chrześcijańskiego świata mściwej, ingresji bogów w życie człowieka, mimo okrutnego finału, jaki w dom Kadmosa wnosi szal dionizyjski — można tragicznej, dzikiej a przerażająco prawdziwej muzyce „Bakchantek” przysłuchiwać się z coraz nowym uczuciem, z coraz ciekawszym widzeniem otchłannych spraw ludzkiej duszy.

Najulubieńsza tragedia starożytności nie stanie się nigdy przeżytkiem. Z oddali pięciu wieków przed naszą erą plonie jej czerwone światło, jak genialny reflektor, rozdzierający (wówczas gdy nie znano żadnych teorii psychologicznych) tajemnice życia. Filologowie

i historycy widza w „Bakchantkach” — prócz arcytworu — wyraz religijnego konfliktu Eurypidesa. Nam, widzom nowoczesnym tego antycznego dramatu, objawia się w „Bakchantkach” nie problem religijny, ale troista prawda: 1. konieczność religijnego światopoglądu, 2. znaczenie kultu Dionizosa w religiach przedchrystusowych, 3. niebezpieczeństwo nieświadomych mocy, uśpionych w człowieku.

1. Niema w „Bakchantkach” — jak w innych tragediach greckich — walki z przeznaczeniem, z wola boga skoncentrowana na losach jakiegoś człowieka. Człowiek walczy tu z bogiem samym. Dionizos zjawia się na ziemi Tebańskiej i stuka do pałacu Pentheusa błuszczowym tyrszem. Ale mądry człowiek broni bogu wstępu w swój dom i w swój kraj. Podejmuje wojnę z bóstwem, nie chce mu zbudować ołtarza, ani złożyć ofiary. Bóg mści się. Szaleł swoim, „świętym szaleł”, który ogarnia całe miasto, dotyka zarówno Pentheusa, jak jego matkę Agawę. Staje się rzecz straszna: Agawa na czele szalejących bakchantek rozedrze w sztułki syna, sądząc, że rozdziera lwa. Dionizos

karze opornych. I nie złamie jego gniewu przedziwny w ustach greczynki krzyk Agawy: „Jeśliś jest bogiem, nie miej ludzi złości”. Dionizos, już osadzony przez Eurypidesa jako bóg zbyt mało różniący się od człowieka, zostaje starym, homerowym bogiem na miętności. Każe Agawie za karę opuścić kraj i iść na wygnanie.

2. Kim jest ten Dionizos, przeciw któremu nie godzi się walczyć człowiekowi? Jest ciemnym, w podziemiach kędyś schodzącym, co rok zabijającym i grzebanym i co rok zmartwychwstającym Chrystusem pogańskiego świata. Przynosi wino na pokarm stęsknionym duszom, ale zaprawiane krwią. Idzie ze Wschodu, z Lidji jońskiejskiej, w półmiewieście szaty odziany i wzywa do zapomnienia o wszystkim w imię ekstazy pochwale życia i płodności. Jest tym, który odrywa od plugów najgorliwszych oraczy ziemi i zbieraczy chleba, aby ukazać im najwyższe szczyty pogańskiego widzenia świata: mistykę ciała, duchową potęgę zmysłów. Zanim przyjdzie Ten, który ponad czerwoną głonję dionizyjskiego mistycyzmu rozpali białe słońce mistyki po zazmysłowej, tajemniczej wieczności życia.

W „Bakchantkach” Eurypidesa skrzepla ta postać Dionizosa-Chrystusa w sposób jedyny i niezwalający analogie. Rozmowa z Pentheusem w chwili uwiecznienia, już prof. Witkowskiemu

wydała się paralela Chrystusa przed Pilatem. Samo zjawienie się Dionizosa, jako ukrytego syna bożego, syna Dzeusa — przypomina przyjście Chrystusa, jako proroka własnej boskości. A potem wyjście Dionizosa z podziemi, własną mocą, z roztrzaskaniem pałacu Pentheusa, i objawienia się jego opłakującym odejście boga bakchantkom — jakże uderzająco przypomina wyjście Chrystusa z pod grobowego kamienia i zjawienie się niewiastom. Dziwny to dokument tęsknoty ludzkiej do prawdy, która nadejść miała dopiero za pięćset lat...

3. A poza tem drugim, dla nas szczególnie wstrząsającym obliczem „Bakchantek” — Trzecia ich twarz: Twarz wiecznego człowieka. Eurypides nie sformułował teoretycznie prawdy o podświadomości. Nie był Freudem, ani nie przeczuwał dzisiejszego poglądu na budowę duszy ludzkiej. Ale tym genialnym chwytem, który pozwolił mu po raz pierwszy żywych ludzi wprowadzić pod maską tragiczną — zerwał zasłonę z ciemnych spraw psychiki i ukazał je w ostrem i grozą przejmującym świetle.

Pentheus — to człowiek, który rzadzi się tylko rozumem, prawdą umysłu racjonalistycznego. Chce, aby ludzie mieli tylko głowy. Wyrzuca ze świadomości podstawową siłę człowieka, jego seksualną potęgę. Nie weźmie w dłoń tyrsa, w którego kształcie uwiecz-

„Bakchantki”

T. Kasprowicz (T. Wielki) i Lwów

1933/34

Gazeta Lwowska

za dr. Kasprowicz

paradziernik 1933 r.